

Aleksander Fredro

ŚLUBY PANIEŃSKIE

czyli
MAGNETYZM SERCA

Komedja w pięciu aktach, wierszem

„Oglądając *Śluby panieńskie* na scenie jest zawsze wesoło” napisał Tadeusz Zelenka-Bay w jednej ze swych recenzji. Istotnie, ta świetna komedia Aleksandra Fredry, arcydzieło lśniącego dramatu pisarskiego, mimo upływu lat nie traci nic ze swej świeżości i błosku. Jest równie nieśmiertelna, jak nieśmiertelne są radości i cierpienia budzących się młodzińskich uczuć i pożądań – naiwne może, czasami śmieszne, ale niezmiennie od wieków, mimo zmieniającej się obyczajowości, kanonów etycznych i moralnych. Bo *Śluby panieńskie* to sztuka o miłości, sztuka pełna subtelnej wdzięku, łącząca czysty liryzm z delikatną, nie zawsze jeszcze uświadomioną myślowością. Wspaniały, niemal muzyczny rytm wiersza, mistrzynie prowadzona intryga, ukazująca zabawne perypetie sercowa dwóch młodych par, bez błędny rysunek postaci, a nade wszystko debiut, jakim skrzyp się sceny Fredrowskiej komedii – wszystko to czyni z niej fenomen, rzadko wykonywany na scenach świata.

W Teatrze „Ateneum” ujrzymy *Śluby panieńskie* w reżyserii JANA ŚWIDERSKIEGO, w oprawie scenograficznej WLADYSŁAWA WIGU.

W przedstawienniu biorą udział: GRZYNA BARSZCZEWSKA, KRYSZYNA JANDA, ALEKSANDRA ŚLĄSKA, TADEUSZ BORÓWSKI, ANDRZEJ SEWERYN, JAN ŚWIDERSKI, JAN ZARDECKI.

Krystyna Janda

Znów nie o dziennikarzach

Szanowni Państwo!

Po raz trzeci zabieram się do pisania o dziennikarzach, prasie, reklamie i znów rano *(piszę tylko w nocy, w dzień nie mam czasu)* leży koło mnie nagryzmołone bez sensu kilka stron. Chyba nigdy tego nie napiszę. Nie umiem.

Dziś znów po długiej przerwie – wywiad. Jest tyle nowo powstających gazet, tyle zmian, dostaje tyle telefonów, że znów komuś, czemuś trzeba pomóc... Zgadza się. Kolejny raz. Niechętnie. Mając nadzieję, że może nareszcie uda się zrobić coś interesującego i kolejny raz pada pierwsze pytanie...

– Pani Krystyno, a jak to się zaczęło? Początek pani kariery.

No nie!!! Pomyślałam,

że tę panią wyproszę za drzwi i oczywiście kolejny raz, uśmiechnięta, trzy godziny usiłowałam coś opowiadać, stając na głowie, żeby było niebanalne, żeby się nie powtarzać... No więc właśnie, jak to naprawdę było? Jak to się zaczęło? Czyli debiut teatralny. Proszę bardzo: Aniela w „Ślubach panieńskich”, Teatr Ateneum, rok 1976, jesienią.

Kiedy rok wcześniej angażował mnie do tego teatru dyrektor Warmiński, świeżo upieczoną absolwentką Szkoły Teatralnej, przerażone pokurcze z krostami i w szóstym miesiącu ciąży; zapisał, z całym swoim szarmem i elegancją:

– A co chciałaby pani grać, na co miałyby pani ochotę?...

Zukaliśmy zdjęcia pani Krystyny w archiwum Teatru Ateneum. Niestety, jakis cichutki wielbiciel wyniósł Jej zdjęcia. Publikujemy zatem afisz, by udowodnić, że Krystyna Janda na pewno debiutowała w „Ślubach panieńskich”.

Zaskoczona i zaszokowana atmosferą tego gabinetu, urokiem dyrektora i roztaczającymi się nagle przede mną perspektywami, a przede wszystkim możliwościami wyboru... wydukałam:

– Nie zastanawiałam się, nie wiem, wiem tylko jedno, na pewno nie Aniela w „Ślubach”, to nie ja...

No więc debiut. Aniela!

Reżyseruje Jan Świdorski, gra też Radosta. Pani Dobrojska-Aleksandra Ślaska, Grażyna Barszczewska – Klara, Tadek Borowski – Albin, Andrzej Seweryn (*mój ówczesny mąż*) Gustaw, wszyscy 10 lat na scenie. Fredrowski wiersz – cudowny, rytmiczny, logiczny, dyktujący sposób interpretacji i pointy, gnający do przodu, skracający się pięknnością i ja, kipiąca energią, temperamentem, szczęściem, odwagą, wiarą, optymizmem, już nie wiadomo czym.

Pędzę, skaczę, krzyczę, śmieję się, płaczę, przeskakuję, wyskakuję, a Świdorski krzyczy, załamuje ręce, pisze w garderobie na moim lustrze – wolniej, wolniej, wolniej, Aniela – to od Anioła. Wolniej, inaczej, łagodniej, skromniej, ciszej, mniej współcześnie.

Prosi, błaga, zaklina, przypomina – na nic!

Mój mąż, partner, a i nauczyciel ze Szkoły Teatralnej, co wieczór przy kolacji otwiera zeszyt, w którym na próbach zapisuje moje błędy i uwagi do mnie. Prosi, tłumaczy, uczy, każe ćwiczyć dykcję. Upomina, że dużo muszę się jeszcze nauczyć, każe słuchać Świdorskiego, nocami tłumaczy zasady weryfikacji.

A ja?

Nie słucham niczego, nie wiem nic! Pędzę, gnam, w jakimś szczęściu, bez opamiętania, traktuję wszystko po drodze (*całe piękno, niuanse*). GRAM! GRAM! GRAM! nieprzytomna. Nie jem.

Nie piję. Chudnę i gram!

Postanawiam grać bez sztucznych rzęs, bez peruki, bez gorsetu, bez sztucznego biustu. Szyją mi piękną białą suknię. Podobam się sobie jak cholera jasna!

Zbliża się premiera. Próby generalne, na których siedzi Warmiński. Czy jest dobrze, czy źle? Nie wiem. Gram! Nie zauważam niczego, coś tam szepczą, coś tam radzą, nad czymś się tam zastanawiają, ja nie wiem nic, wpadam i gram!

Na lustrze reżyser do spółki z mężem wypisują mi wykrzykniki, uwagi, całe fragmenty roli znacząc akcenty, pauzy i pointy. Czytam, usmiecham się i pędzę dalej... Grać!

Premiera.

Kiedy zakładają mi suknię – kostium na ostatnią generalną, czuję się jak w dzieciństwie, jakbym szła do komunii. Jestem tak szczęśliwa i z siebie zadzwołona, że bije ze mnie tuna. Po próbie dowiaduję się, że zmieniają mi suknię na podobną, ale w kolorze gołębim, że nie jesteśmy jeszcze ze spektaklem gotowi, że widownia na premierze jest sprzedana, tylko młodzież, szkołom i zorganizowanym grupom.

Nie śpię całą noc. Rano przynoszą mi nową suknię, szarą. Cały dzień mam ból brzucha i nie wychodzę z toalety. Wieczorem, już w garderobie, na dekolcie wyskakują mi ze zdenerwowania wiśniowe plamy wielkości pięści, nogi trzęsą mi się tak, że nie mogę na nich stać, nie mówiąc o chodzeniu.

Gram okropnie! Trzęsę się cała. Wydaje mi się, że widownia kręci się, gada, nie uważa. Wszystko mi przeszkadza i mam jedno marzenie, żeby wszyscy wyszli i żebyśmy mogli znów zostać sami i grać dla siebie, jak na próbach.

Mówiąc monolog, chyba najpiękniejszy w tej roli, w którym Aniela opowiada co się z nią dzieje, jak kocha, zauważam, że mały chłopiec w pierwszym rzędzie nadmuchał papierową torebkę i pokazuje koleдке, który siedzi w końcu tego rzędu, że z niej strzeli. Tamten go woła. Chłopiec z nadmuchałą torebką,

schodzi na czworaka i idzie do kolegi.

Mówiąc monolog, myślę sobie – byle szedł równo – bo pomyśl wiersz. Idzie równo, powoli. Dochodzi. Siadają obaj na jednym fotelu, ale nie strzelają.

Koniec. Kurtyna. Koniec!

Nagle wszyscy do mnie dopadają:

– Coś ty zrobiła! Myśleliśmy, że nie dogramy, że pójdziesz kurtyna. Profesor ze śmiechu nie mógł wejść do swojej sceny. Nic nie zauważyłaś? Nie-możliwe!...

Okazało się, że w scenie pisanie listu, powiedziały do Gustawa – Andrzejka Seweryna:

– Co, ja bym takie listy pisać miała?... – zamieniając w słowach listy i pisać pierwsze litery tych słów, co wywołało niepo-hamowaną wesołość na widowni.

– Nie zauważyłaś? – pyta Andrzej.

– Zauważyłam, że się śmieją, tylko myślałam, że tak śmiesznie gram.

Dziś nie potrafię ocenić jak grałam, co to właściwie było. Recenzje miałam raczej przychylnie. Czy to była Aniela Fredry? Na pewno nie.

Pozdrawiam

Krystyna Janda

P.S. Żałuję, że ten „wiatr w głowie”, to szaleństwo opanowuje mnie podczas pracy tylko nad niektórymi rolami.

Żałuję, że teraz zastanawiam się, dlaczego jakaś postać ma na imię tak, a nie inaczej.

Żałuję, że teraz nie dałabym sobie zmienić bezwirygodnego uzasadnienia sukni, która mi się podoba na taką, która mi się nie podoba.

Jak żałuję!!!

Czy jeszcze kiedyś będzie mnie trawić taka gorączka, taka bezmyślność, taka beztroska i takie szczęście z tego, że gram?

P.S. Graliśmy te „Śluby” potem jednak parę lat. Moja córka 3 czy 4-letnia, poszła na ten spektakl z moją mamą. Tak się jej pomyliły rzeczywistości, w tym teatrze, że nagle siedząc babcia na kolanach, zapytała:

– Babciu, tatę widzę, mamę też, a gdzie Tę jestes?

Biedne dziecko.